

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Przy mikrofonie Martyna Matwiejuk, dzień dobry. Gościem Audycji kulturalnych jest dziś pan Jan Ptaszyn Wróblewski, muzyk jazzowy, kompozytor, dyrygent, prezenter radiowy. Witam pana bardzo serdecznie.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Kłaniam się nisko, dzień dobry.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Proszę pozwolić, że zaczniemy od początków pana przygody z muzyką jazzową. Czy pamięta pan pierwsze zasłyszane nagranie jazzowe, które przykuło pana uwagę i pomyślał pan: „Tak, taką muzykę chciałbym tworzyć.”

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Oj to jest bardzo trudne pytanie, bo oczywiście ja jakoś tamte czasy pamiętam, tylko ja wtedy w ogóle nie wiedziałem, co jest jazz, a co nie. U nas za jazz uchodziło wszystko co tylko pachniało rytmem. Przecież zabraniając jazzu Stalin zabronił, również samby, rumbi i wszelkich innych rzeczy. Także trudno mi powiedzieć, w którym momencie ja się zetknąłem z tym jazzem autentycznym. Na pewno na początku była to muzyka taneczna, która wtedy była bardzo do jazzu zbliżona. I na pewno krążący wtedy przez jakiś czas po Polsce film „Serenada w dolinie słońca” z Glennem Millerem. Chociaż i o tym później mówiono rozmaicie, czy to jazz czy nie jazz, trudno było to wyjaśnić.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: No właśnie, to jest zasadnicze pytanie, jak oddzielał pan wtedy, to co jazzem jeszcze było, od tego co już nim nie było. Czy ktoś tego pana uczył?

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Nie, ja po prostu początkowo w ogóle nie zastanawiałem się nad tym jak co się nazywa. Była po prostu muzyka, zachodnia powiedzmy muzyka. To było całe sformułowanie, które do mnie docierało i różnego rodzaju, i nagrania, i przeboje wtedy pamiętam w radiu wysłuchiwałem, bo były tam absolutnie jakieś rozrywkowe programy, jak chociażby Perez Prado i jego mambo orkiestra, ale był również i Charlie Parker i Clifford Brown. Ale takiej orientacji prawdziwej, no to ja nabrałem dopiero grubo potem, gdzieś kiedy już przeniosłem się z Kalisza do Poznania, kiedy już miałem Krzysia Komedę na podorędziu, który też nam sporo tłumaczył. Ale i wtedy, też jeszcze nie bardzo popelnialiśmy omyłki. Chyba ta cała sprawa, co jest jazzem, a co nie, wyprostowała się dopiero na pierwszym festiwalu jazzowym w Sopocie.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: To był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty. Chyba nadużyciem nie będzie powiedzenie, że to moment przełomowy dla historii jazzu w Polsce. Występował pan wówczas jako członek sekstetu Komedy. Jak zapamiętał pan to wydarzenie?

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: I znów tutaj muszę podejść z innego punktu widzenia. Dla mnie był to debiut w ogóle publiczny i to mnie najbardziej fascynowało i przerażało jednocześnie, no, staraliśmy się jakoś potwornie, żeby to dobrze wypadło, a jak wypadło, trudno powiedzieć, różnie było. Dzisiaj tego słucha się z lekkim zażenowaniem.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Wspominał pan o Krzysztofie Komedzie. Niedawno obchodziliśmy dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin kompozytora, no i nie mogę, nie zapytać o pierwsze spotkanie z tym muzykiem.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: To spotkanie było, jak gdyby kilka spotkań, rozłożonych na raty. Bo najpierw to było w momencie, kiedy ja jeszcze siedziałem w Kaliszu, w ogóle piąte przez dziesiąte, wiedziałem o muzyce. Ale zaprosili mnie koledzy na taką wizytę w Poznaniu, żeby mi pokazać tamtejszy muzyczny świat. Oglądaliśmy bardzo różne rzeczy i orkiestrę Jerzego Miliana, który wtedy miał swój big-band studencki, a jakże. Oglądaliśmy jakieś knajpowe orkiestry, które starały się grać taneczny repertuar. A na koniec siedliśmy w takiej kawiarni, którą dziś nie sposób zlokalizować, w tej chwili to jest teren hotelowy, wszystko inaczej wygląda. Nie pamiętam, czy to się nazywało przypadkiem nie „As”. I tam był zwyczaj, że spotykało się towarzystwo muzyczne i było pianinko, przy którym każdy kto chciał, mógł sobie co nieco pograć. I rzeczywiście parę osób tam próbowało coś takiego, coś innego, ale w pewnym momencie, wszyscy nieomal zeszytnieli, wszedł taki, bliżej mi nieznany człowiek. Oczywiście Krzysio Komeda to był, ale dla mnie, postać anonimowa kompletnie, tyle że natychmiast wyczułem, że to jest ktoś, kto ma o tym najwyższe pojęcie i prawdopodobnie potrafi najwięcej. I rzeczywiście, przysiadł się do nas, porozmawialiśmy troszkę. Dał się namówić na zagranie na tym fortepianie. Ale to była taka wstępna, jakby znajomość. Ta znajomość poszerzyła się dopiero, kiedy pojechałem na studia do Poznania. I tu już nie potrafię powiedzieć gdzie były jakieś okoliczności, ale o ile pamiętam, najważniejsze, było spotkanie w Warszawie, gdzie grali Melomani, a Melomani, to była legenda, ja ich wcześniej jeszcze nie słyszałem, a w Melomanach, między innymi na fortepianie grał Krzysio Komeda. Ja tam pojechałem, udało mi się zająć miejsce pod samą estradką i w ogóle bardzo się zdziwiliśmy, kiedy się nagle dostrzeżliśmy, bo jednak przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy znajomymi. I tak się złożyło, że z tej imprezy, później razem z Krzysztofem wracaliśmy pociągiem do Poznania. No tam już się zaczęły znacznie dalej idące opowieści, nie wiem skąd, ale Krzysztof już doskonale wiedział, że ja również grywam w takich, czy innych zespołach. No i między innymi wyskoczył z tym projektem, który zamierzał zrealizować, czyli pod tytułem sekstet Komedy, że on coś takiego będzie planował, jeszcze może nie w tej chwili, może za parę miesięcy, ale żeby być w pogotowiu, bo w pewnym momencie się do mnie zgłosi, co mnie oczywiście bardzo zastrzeżiło, ale niesamowicie miło, że wziął

mnie od razu pod uwagę. To były te pierwsze spotkania, potem to już byliśmy dobrzy znajomi, w zespole, na próbach, wszędzie.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A jak współpracowało się panu z Krzysztofem Komedą na scenie?

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Na scenie, to już nie był problem, na scenie już wszystko było przećwiczone od góry do dołu tysiące razy. Wiadomo, że tam żadne nowe uwagi nie następują, po prostu będziemy musieli zagrać tak jak żeśmy się do tej pory nauczyli. Natomiast na próbach, to było roboty do diabła i trochę. Krzysztof był bardzo wymagający i to była robota różnego rodzaju. To znaczy na przykład jak coś było trudne i nie wychodziło, to Krzysio kazał przegrywać to, nie wiem, dziesięć razy, dwadzieścia razy, a raz nawet zdarzyło się, że sto razy, ćwiczyliśmy jakiś fragment. Ale były też i spotkania, kiedy nie ustalaliśmy, co jak ma być zagrane i sami próbowaliśmy nawzajem do siebie się dostosować i spróbować, co z tego wszystkiego wyjdzie. Nikt z nas nie miał wtedy gotowego patentu na tę muzykę, którą chcieliśmy prezentować.

♪[FRAGMENT UTWORU JAZZOWEGO]

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Niejednokrotnie wymienia się pana i Krzysztofa Komedę obok takich twórców, jak choćby Andrzej Trzaskowski, czy Zbigniew Namysłowski, jako przedstawicieli tak zwanej *polskiej szkoły jazzu*. To jest takie hasło, które się bardzo często pojawia, w różnych opracowaniach i rozmowach o muzyce. Ja jestem ciekawa jaki ma pan stosunek do tego terminu, czy rzeczywiście wyróżniłby pan, to co tworzyli panowie w tamtym okresie, jako jakiś taki odrębny, typowo Polski rodzaj tej muzyki jazzowej.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Więc ja mam do tego troszeczkę odrębny stosunek, przynajmniej jeśli chodzi o tamte czasy. Na pewno nie było niczego wyróżniającego, my po prostu nie umieliśmy grać. To jedyne co chcieliśmy, to nauczyć się grać tak jak grają Amerykanie, a nie o żadnych innych historiach. Natomiast to samo było również i w całej Europie, mnóstwo innych muzyków z innych krajów, nie potrafiło Amerykanom dorównać, więc zaczęli wymyślać, że ach to się nazywa euro jazz, czyli to będzie takie jak my umiemy. Ja do tego miałem absolutnie negatywny stosunek, ale jest fakt, że Polska szkoła jazzu się utworzyła, tylko znacznie później. To już były okresy, kiedy Namysłowski, Stańko. Bo Namysłowski to jest jedna generacja dalej, niż Krzysztof Komeda, Trzaskowski i Andrzej Kurylewicz. To była ta pierwsza modernistyczna trójka, plus czuwający nad tym wszystkim tradycjonalista, czyli Jerzy Duduś Matuszkiewicz.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A propos jazzu amerykańskiego,

to powróćmy jeszcze do końca lat pięćdziesiątych, kiedy to został pan wybrany na drodze konkursu, jako reprezentant Polski na festiwalu w Newport. No mogę sobie tylko wyobrazić jak odmienną rzeczywistość pan tam wówczas zastał, kiedy ta wymiana kulturalna praktycznie nie istniała. Zapewne zobaczył pan tam inny świat.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Dokładnie.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: I jakie miał pan wrażenia, pomyślał pan, że to jest coś niesamowitego i chce tu zostać, czy raczej wracam do Polski i pokazuje, to co tam usłyszałem, czego się tam nauczyłem.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Ja byłem i osłupiały i przerażony tym co tam zastałem, i to pod każdym względem, prawdopodobnie nie umiałbym się tam poruszać jako samodzielny człowiek, który musi zarobić na utrzymanie, musi coś zrobić, jakieś zaplecze i dlatego w ogóle pozostania w Stanach nie brałem zupełnie pod uwagę, nigdy ani przez moment. Zresztą nawet przed wyjazdem byłem z góry nastawiony na to, że jednak wrócę. Natomiast to, co zobaczę i czego się nauczę, to moje, a z drugiej strony sprawy muzyczne. Jeśli my żeśmy tylko sobie gdzieś tam w domu marzyli o jakimś panu, dajmy na to Goodmanie, żeby go usłyszeć, to przecież mowy najmniejszej nie było i nie sądziliśmy, że zobaczymy go do końca świata. Jeżeli nam się udało zdobyć jego nagranie, to było wielkie halo, a jakieś zdjęcie, gdzieś w gazecie, to już był rarytas. A tu przyjeżdżamy i pierwszego dnia od razu na lotnisku cały kwartet Gerry'ego Mulligana, tenże Benny Goodman, mnóstwo ludzi, którzy nas witają, łapa w łapę, granie od razu na lotnisko. Tam w holu, bo chłopaki przyjechali z instrumentami. Chłopaki mówię właśnie o tych amerykańskich gwiazdach. Także, no osłupienie było kompletne, a potem było sto tysięcy zespołów, których człowiek mógł się wreszcie nasłuchać, a które stanowiły kiedyś tylko, no legendę. Jeśli gdzieś w radiu się usłyszało fragment nagrania pana takiego, czy innego, to było o Jezus Maria. A tutaj na żywo o parę kroków wszyscy, kogo by się nie chciało.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A mówiąc jeszcze o tych ważnych momentach w życiu, czasem zdarza się, że na naszej drodze staje taka osoba, której wypowiedziane zdanie momentalnie zmienia nasze postrzeganie czegoś, nasze podejście. Czy pamięta pan taką sytuację w swojej karierze muzycznej, że właśnie jakieś usłyszane słowa zawróciły nurt rzeki?

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Nie, absolutnie nie, z całą pewnością takich słów nie było. Natomiast, były pewne kontakty, gdzie istniała jakaś, no ja nie wiem, nie wiem jak to nazwać, jak to określić. Ktoś, kto przez sam fakt, że był blisko, dodawał odwagi, czasem zresztą również wspomagał tą odwagę, jak właśnie na przykład tenże Gerry Mulligan

w Stanach Zjednoczonych. Nie wiem, czyć było jego sympatię, czyć było, że on zachęca człowieka do jak najlepszego grania, ale czasami również wyciągał mnie za uszy na jakiś jam i tłumaczył, że tu trzeba się nie bać i grać. To samo później, jeszcze spotkałem paru takich ludzi, no niewątpliwie ducek Red Rodney, Ira Sullivan, którzy też piekielnie mnie jakoś zmobilizowali do grania, ale to były rzeczy trudno uchwytnie, nawet nie wiem dlaczego akurat tacy ludzie, a nie inni. Bo przecież ja się nie wzorowałem później na tym Mulliganie, nie wzorowałem się na Rodneyu, ja się wzorowałem na zupełnie innych muzykach. Ale podejście do jazzu, gdzieś ci ludzie po prostu umieli jakoś przekazać.

♪[FRAGMENT UTWORU JAZZOWEGO]

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Definicji jazzu chyba próżno szukać, więc zapytam bez czego w pana opinii jazz nie może istnieć?

JAN PTASZYN WROBLEWSKI: Oj przed panią jest bardzo dużo rzeczy, bez których on nie może istnieć. Wiemy o tym, że nie może istnieć bez improwizacji, ale to o dziwo ostatnio jak gdyby wydaje mi się sprawą, no drugoplanową. Improwizacja weszła już wszędzie, to nie jest wynalazek tylko jazzowy, aczkolwiek oczywiście w jazzie odgrywa pierwszorzędne znaczenie, bo po prostu gramy samego siebie, a nie jakieś odtwarzanie kogoś innego, który nigdy nie będzie takie samo jak człowiek, który to zagrał po raz pierwszy, który to wymyślił i pokazał jak to ma wyglądać. Ale poza tym oczywiście to jest troszeczkę język bluesa, z tym że język bluesa, uwaga, uwaga, dzisiaj za bluesa uważa się najczęściej najrozmaitsze rockandrollowe nagrania. A klasyczny jazzowy blues, no może wyglądał trochę inaczej i inny miał później znaczenie, ale ta bluesowa skala, która robiła wodę z mózgu Europejskim teoretykom przecież nie jeden raz. I to albo się pojęło, albo nie, ale najważniejsza jest ekspresja. Jazz miał swój rodzaj ekspresji powszechnie stosowany, tego nie miałeś, no to się nie liczyłeś, a dzisiaj dwa jak gdyby te podstawowe rytmy jazzowe, które dla mnie kiedyś były bazą, zaczynają być nieomal nieużywane i czasami to mnie piekielnie rozczarowuje, ale z drugiej strony pojawiają się nowe rytmy, które są fascynujące, więc no galimatias jest cały czas i woda w mózgu cały czas. Trzeba się po prostu uczyć wybierać, robić co się da.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A ze względu na to, że muzyka jazzowa stale się zmienia, pan pozostaje również jej baczny obserwator. To na zakończenie zapytam co w pana opinii jest najbardziej wartościowe w obecnej Polskiej scenie jazzowej. Być może zwraca pan szczególną uwagę na jakiegoś konkretnego twórcę młodego pokolenia.

JAN PTASZYN WRÓBLEWSKI: Nie, jest pewien nurt, który ja oczywiście wyróżniam, ale nie jestem w stanie w tej chwili opowiedzieć na czym on polega. To by musiało zająć bardzo wiele czasu, bo to są roztrząsania, no naprawdę czasami trudne

do wytłumaczenia. W każdym bądź razie jest to taki nurt, który gdzieś tam bazując mimo wszystko na tradycji, eksponuje bardzo wiele rzeczy z późniejszych osiągnięć włącznie z muzyką free, tylko umieszczoną w jakimś kontekście. No nie wiem, nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Młodych, który uwielbiam jest bardzo wielu! Jest w tej chwili naprawdę masowy wysyp, aczkolwiek, no w tej chwili, w tej chwili to mamy pandemię i w ogóle nie mamy życia jazzowego o.

DZIENNIKARKA MARTNA MATWIEJUK: Oby jak najszybciej ono powróciło. Nie tak dawno Narodowe Centrum Kultury współorganizowało koncert poświęcony pamięci Krzysztofa Komedy, o którym rozmawialiśmy z pianistą Marcinem Wasilewskim. Link do tej audycji znajdą Państwo w opisie podcastu, a dziś Jan Ptaszyn Wróblewski był moim i państwa gościem w Audycjach kulturalnych. Bardzo dziękuję za to spotkanie.

JAN PTASZYN WROBLEWSKI: Ja również dziękuję, kłaniam się nisko.

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie